



ISTOTA DEMOKRACJI

Demokracja pod ostrzałem

Różne modele demokracji łączy przeświadczenie, że rozwiązywaniu konfliktów lepiej służy kartka wyborcza niż przemoc w takiej czy innej postaci. Nie ma więc demokracji bez wolnych i uczciwych wyborów. To nie jest warunek jedyny i wystarczający, ale kluczowy. Inne warunki to rozdział władzy sądowniczej od politycznej, niezależność mediów, szczególnie publicznych, odziedzenie państwa od rządzącej partii politycznej i od Kościoła, szczególnie mającego większość wśród wierzących. W naszym przypadku jest to Kościół rzymskokatolicki.

Kolejnym warunkiem jest swoboda zrzeszania się i działania obywateli w partiach politycznych i organizacjach społecznych, w tym związkach zawodowych. Korzystając z gwarancji wolności słowa, przekonań światopoglądowych i sumienia, wybierają oni swoich przedstawicieli do parlamentu. Jeśli widzą taką potrzebę, mogą zmienić drogą wyborów ekipę rządzącą. A rządzący werdykt wyborców uszanują.

Potocznie tak skonstruowaną demokrację zwykliśmy nazywać liberalną. Liberalną znaczy – wolnościową. Prawa i swobody obywatelskie są w niej chronione, a jednostka, szanująca prawo ustanowione przez demokratycznie wybrany parlament, może się w takim ustroju czuć bezpiecznie i żyć, tak jak chce, o ile nie koliduje to w rażący sposób z innymi stylami życia i systemami wartości.

Taki model demokracji budowaliśmy po przełomie 1989 r., kiedy wynegocjowane przy tak zwanym Okrągłym Stole porozumienie między ówczesną opozycją a ówczesną władzą otworzyło drzwi do bezprecedensowej pokojowej transformacji państwa, gospodarki i życia publicznego w kierunku podobnym do tego, w jakim poszły powojenne społeczeństwa Zachodu. Zwieńczeniem tego procesu było uchwalenie projektu konstytucji i jego przyjęcie w ogólnonarodowym referendum w 1997 r., a także przystąpienie Polski do Sojuszu Północnoatlantyckiego i do Unii Europejskiej.

Można dyskutować o pozytywach i negatywach transformacji i konstytucji, ale na jedno warto zawsze kłaść nacisk: wszelkie zmiany, jakie nastąpiły w ich wyniku, nie doprowadziły nigdy do rozlewu krwi, a wymiana ekip rządzących odbywała się pokojowo. Konfliktów, wstrząsów, napięć, wielkich rozczarowań i potężnych skandali Polska po 1989 r. nie uniknęła, ale, jak dotąd, włącznie z okresem po dojściu do władzy Prawa i Sprawiedliwości i jego koalicjantów, nie powstało masowe, egzystencjalne zagrożenie dla zasad demokracji zapisanych w konstytucji i prawie. Pojawiły się jednak liczne przypadki ignorowania lub naruszania tych zasad w praktyce politycznej rządzących i niepokojące zapowiedzi płynące z kręgów obecnej władzy na temat przyszłości naszego modelu demokracji – takiego, jaki został ukształtowany pod rządami demokratycznych partii prawicy, centrum i lewicy w latach 1989–2015. Ale kiedy piszę te słowa, krajem wstrząsnęła tak zwana afera Piebiaka, stawiająca wielki znak zapytania, czy żyjemy jeszcze w państwie prawa, skoro resort sprawiedliwości toleruje nielegalne nękanie niepokornych względem niego sędziów, którzy na dodatek są sędziami Unii Europejskiej.

Z licznych wypowiedzi polityków i ekspertów obecnego obozu władzy wyziera perspektywa zastąpienia naszej wersji systemu demokracji liberalnej systemem respektującym tylko nieliczne jej elementy, nazywanym w politologii „demokracją nieliberalną”. Pojęcie to wprowadził do szerokiego obiegu amerykański dziennikarz polityczny Fareed Zakaria w artykule opublikowanym w czasopiśmie „Foreign Affairs” w 1997 r. Początkowo odnosił je on do państw w tak zwanym Trzecim Świecie, gdzie ekipy rządzące za demokratyczną fasadą prowadziły politykę zmierzającą do konsolidacji swej władzy, a gdy ją zbudowały, wchodziły na etap centralizacji i autorytaryzmu.

W XXI wieku można już mówić o demokracjach nieliberalnych w świecie zachodnim. W naszym regionie Europy praktykują ją coraz intensywniej nawet niektóre państwa Unii Europejskiej, idąc za przykładem Węgier Victora Orbána. Inne powszechnie znane przykłady to Rosja prezydenta Putina i Turcja (wciąż członek NATO) prezydenta Erdoğan. We wszystkich przypadkach elementem wspólnym jest dążenie do ustanowienia jednego silnego ośrodka władania i limitowania elementu liberalnego, czyli niezależnej od rządzących trzeciej i czwartej władzy, czyli wymiaru sprawiedliwości i mediów, a także organizacji obywatelskich.

W Polsce pod rządami obozu skupionego wokół Jarosława Kaczyńskiego można dostrzec podobne tendencje. Szczególną cechą demokracji nieliberalnych jest kult przywódcy, który dzięki autentycznemu poparciu znacznej części obywateli, staje się instytucją ponad państwem i prawem, nawet – jak się to dzieje w przypadku prezesa Prawa i Sprawiedliwości – nie pełni on żadnych urzędów państwowych, a zatem nie ponosi konstytucyjnej odpowiedzialności z tego tytułu.

Taki stan zawieszenia między wolnością i bezwolnością sprzyja rządzącym. Póki nie popełnią oni jakiegoś zasadniczego błędu, mogą nie liczyć się z opozycją, która w stanie owego zawieszenia ma coraz węższe pole działania, w czym coraz większy udział ma wszelkiego rodzaju rządowa i prorządowa propaganda. Jej celem w demokracji nieliberalnej jest blokowanie autentycznej, czyli wielonurtowej debaty publicznej i niekontrolowanego przez rządzących obiegu informacji.

W rezultacie wyborcy są coraz bardziej odcięci od wglądu w rzeczywisty stan spraw publicznych, od państwa po gospodarke. To z kolei powoduje, że społeczeństwo staje się klientem władzy – nie tylko politycznym, ale też socjalnym i ekonomicznym – i przestaje się interesować polityką, oddając ją pod niekontrolowane panowanie rządzących. Akt wyborczy w takiej sytuacji przestaje być tym, czym jest w demokracji liberalnej: pokojowym narzędziem wymiany rządzących. Zaczyna być sposobem legitymizacji rządów nieliberalnych. W takim systemie można żyć i trwać, tak jak można było żyć i trwać w PRL czy w Hiszpanii gen. Franco, ale za cenę stagnacji rozwoju, erozji etycznej i bezproduktywnego serwilizmu w każdej ważnej dziedzinie życia narodowego.

ADAM SZOSTKIEWICZ